

WACŁAW SIEROSZEWSKI

PTAKI PRZELOTNE

D A R

Towarzystwa Popierania Białosty Publicznych Szkół Powszechnych
OKRĘG WILEŃSKI

88027

WARSZAWA 1939

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”



260007



Zakłady Drukarskie B-cia Wójcikiewicz, Warszawa.

W/240/01

10,-

Było nas dziesięciu wygnańców. Wygnali nas Moskale daleko na północ i osadzili u stóp „Tronu Zimy”*) dlatego, żeśmy chcieli wolności dla naszej Ojczyzny. Kraj wokoło był posepny, pusty, pokryty lasami i bagnami, osiem miesięcy w roku skuty lodem i zasypany grubo śniegiem. W czasie zimy słońce przez wiele dni nie ukazywało się wcale na niebie i noc czarna, długa i mroźna wisała nieustannie nad ziemią. Wtedy, skuleni przy płonących ogniskach w chatach ciasnych, dusznych i brudnych — tęskniliśmy straszliwie do ciepła, do światła, do

*) Kraje podbiegunowe.

gwarnego, ruchliwego życia, jakie otaczało naszą kolebkę... Słodkie twarze matek naszych i ojców, braci, sióstr i przyjaciół wypływały przed nami wśród mroku, wabiąc nas dobrotliwym uśmiechem; dźwięki ich głosów rozbrzmiewały w naszej stęsknionej pamięci, budząc w sercu bolesne drżenie... Wychodziliśmy wtedy przed chaty i spoglądali z odrazą na zimne, surowe niebo, obcymi usiane gwiazdami, na nieprzyjazny, biały całun szronów i zasp śnieżnych, po których przepływały niespokojnie różowe lub zielonawe cienie zorzy północnej, nikłe i zwiewne, jak duchy...

W te noce tęsknoty narodziło się w nas niezwalczone pragnienie ucieczki, ucieczki choćby za cenę życia!

Przepływała przez tę miejscowość duża rzeka Jana. Przyszło nam do głowy,

że możemy potajemnie wybudować wielką łódź i uciec wodą. Wprawdzie rzeka płynęła na północ, ku biegunowi, a Ojczyzna nasza leżała na południu, lecz Jana wpada do Oceanu Lodowatego i liczyliśmy na to, że brzegiem morza, rozpiąwszy żagle, uda się nam dotrzeć do Ameryki, a stamtąd, zwykłą drogą, do Polski.

Mieliśmy przyjaciół, również wygnańców, którzy mieszkali o milę za miasteczkiem, na brzegu rzeki. Tam, z dala od oczu pilnujących nas kozaków, całą zimę gromadziliśmy po cichutku długie, cienkie deski na obszycie łodzi, żelazne i miedziane nity dla ich złączenia, bloki do żagli, okucie do steru i inne rzeczy, potrzebne w żegludze... Piekliśmy suchary, suszyli mięso, aby zrobić z niego „pemi-ken” — proszek mięsny, który zalany tłuszczem, doskonale przechowuje się na

morzu w blaszanych lub drewnianych beczułkach.

Zbliżała się wiosna. Słońko przygrzewało coraz mocniej, wydłużał się dzień, skracała noc. Śniegi szybko tajały i czarna ziemia obnażała się na bokach wzgórz, zwróconych do słońca. I natychmiach, tuż obok rozmokłych lodów i śniegów, wytryskały z wilgotnej, ciepłej gleby zielone ździebełka młodej trawy i pierwiosnek polarny roztulał swoje bladożółte lub różowe kielichy. Cicho szemrały strumyki śniegowych roztopów. Wiał ciepły wietrzyk, nasycony wonią żywicy budzących się lasów...

W nocy jednak wracał mróz, szron pokrywał wszystko srebrzystą koronką i znowu zamierał, jak w zimie, wszelki ruch i dźwięk. Lecz noce stawały się coraz krótsze, niebo coraz bledsze, gwiaz-

dy na nim coraz niklejsze, aż wreszcie noc znikła, jej zmrok zamienił się w mleczny świt, z różową zorzą na widnokregu tam, gdzie zaszło słońce i skąd niezadługo znów wypływało złote i czyste... Takie są podbiegunowe „białe noce” wiosenne!

Krótkie jest lato tamtejsze, a wiosna trwa ledwie dni dziesięć. Za to płynie burzliwie, jak wodospad... W oczach zmienia się biały, zimowy krajobraz na pstry, w oczach zielenieją polany, rozkwitają kwiaty, lasy pokrywają się mgłą świeżych igieł i listeczków, pienią się potoki, błyskają w słońcu kałuże wody i wietrzyk marszczy drobnymi falami ich lustrzaną powierzchnię... Z dniem każdym, z każdą godziną rośnie ruch, rośnie gwar... I puste do tej pory łąki, rzeki i jeziora obsiadają roje ptaków...

Już dawno przylatały oddzielne ich gromadki na wywiad, ale, widząc wszędzie jeszcze białe śniegi, chyżo wracały na południe, wstrzymując stada swych braci, czekających za górami na wiosnę. Dopiero, kiedy słońce i wiatr południowy podarły na strzępy lodowe całuny, kiedy obnażyły się czarne, błotniste żerowiska, kiedy muszki i żuczki, obudzone ciepłem, wypełzły ze swych zimowych kryjówek — podniebie wypełniło się gęstymi pułkami lecącego ptactwa, a cisza pustyni wrzawą ich głosów. Chmary ich opadały na ziemię, żeby wypocząć, posilić się, ale jeszcze większe zastępy leciały w dal, wyciągnąwszy przed siebie dzioby, a za siebie łapki... Powietrze drżało od łopotu ich skrzydeł; wrzawa ich głosów: poświstów, gęgań, klekotów, kwakań i gruchań — tłumiała wszystkie

dźwięki ziemi, jak olbrzymi chór, śpiewający w upojeniu chwałę wiosny, szczęścia, życia, słońca i wolności..

My, wygnańcy, rozumieliśmy je doskonale i większą jeszcze stawała się nasza tęsknota...

Przymrużonymi oczyma wpatrywaliśmy się w przepojone blaskiem słońca błękity, gdzie niby chmury liści, pędzonych przez burzę, leciały obłoki ptaków wędrownych... A każda ich odmiana miała swój głos, swój szyk odmienny i odmienny polot. Białe łabędzie leciały w milczeniu najwyżej, ciężko i wolno, podobne do sznurów dużych pereł. Szare gęsi tworzyły trójkąty z tyłu otwarte i wciąż grały. Podobnie leciały zórawie. Kaczki to zwijały się ruchliwym, niespokojnym kołem, niby różaniec, potężną ręką ciśnięty w przestworza, to leciały

zbitą, szumną, płaską ławicą. Drobne ptactwo mknęło zwichrzonymi rojami bez ładu i naczelników...

Myśmy też gotowali się do odlotu. Przewieźliśmy nasze zapasy żywności, rzeczy, narzędzia i przybory za rzekę, gdzie miała być zbudowana łódź. Czekaliśmy tylko, aż ruszą lody na rzece. Wtedy płynąca gęsta kra zabezpieczała naszych majstrów od napadu kozaków z miasteczka i mogli oni po tamtej stronie spokojnie, na samym brzegu rzeki, złożyć i znitować naszą szalupę.

Rzeka jednak spała dalej swoim zimowym snem, nieruchoma w głębokim wądole, pod kryształowym, sążniowej grubości pancierzem lodowym. Wprawdzie szalejąca dokoła wiosna wrzucała wciąż do jej łożyska niezliczone kaskady wody,

wprawdzie wody te zmyły już z sinego jej pokrycia ochronne śniegi, wprawdzie słońce prześwidrowało w niej gęsto dziury, a wartkie prądy potoków, płynących wzdłuż piasków nadbrzeżnych, wyjadały w jej lodach głębokie szczyrby, lecz wciąż jeszcze można było przejść bezpiecznie po zimowym jej moście i myśmy wciąż z trwogą spoglądali, czy nie zjawią się na tym moście kozacy, czy nie wysledzili czasem naszej łodzi, ukrytej na tamtym brzegu w zaroślach. Część wygnańców przeniosła się tam również, aby tej łodzi bronić i w chwili odpowiedniej zabrać się zaraz do roboty. W miasteczku pozostało jedynie paru, którzy palili w piecach, żeby z kominów szedł dym, głośno śpiewali i hałasowali, udając, że ich jest dużo, aby ukryć nieobecność innych.

A tymczasem nadstawiali uszu, czy

nie rozlega się czasem huk pękających na rzece lodów...

Nareszcie pewnego słonecznego dnia rozbrzmiał w dolinie, głuszając wszystko, groźny pomruk, a następnie zagrzmiały jeden za drugim potężne łoskoty, podobne do bicia z dział. Lody ruszyły. Ci, co byli w miasteczku, pobiegli nad brzeg rzeki, aby się o tym naocznie przekonać.

— Lody ruszyły!... Lody ruszyły... — powtarzali pełni radości.

Paru miejscowych rybaków, którzy również przyszli śledzić za przepływaniem kry, spoglądało na nich ze zdziwieniem.

— Tak, tak!... Lody ruszyły!... Co rok ruszają!... — zauważyli obojętnie.

Ogromne bryły lodu z początku sunęły wolno zwartymi polami, ale rychło bieg ich zwiększył się, zaczęły pękać, naska-

kiwać na siebie, bodąc się, topić się wzajem i druzgotać... Łoskot zderzeń, chrzęst łupanych i gniecionych lodów, bełkot i pomruki wody, szum wirów, ryk urwistych brzegów, oranych przez boki na sztorc postawionych ławic lodowych — wzrosły do niesłychanego stopnia tak, że zagłuszyły wszystkie dźwięki ziemi: i klangor przelotnego ptactwa, i głosy ludzkie i szum wiatru. Wygnańcy jednak wśród tego huków, ryku i strzelaniny różniali doskonale cienkie, miarowe, jak kucie dzięciołów, uderzenia młotów po żelazie — to ich towarzysze nitowali za rzeką zbawczą Łódź. Lęk ich ogarnął, żeby nie usłyszeli tego kucia kozacy, więc natychmiast wrócili do miasteczka i, śpiewając i hałasując w swych mieszkaniach, udawali znów, że ich jest dużo. Aż rzeka oczyściła się od kry. A wtedy na maluch-

nej łódeczce przepłynęli na drugi brzeg i wsiedli do gotowej już łodzi, ukrytej w zalanych powodzią wiklinach.

Łódź była przepiękna, więc nazywaliśmy ją „Królewną”. Silnie wiosłując, wyprowadziliśmy ją na środek nurtu i popłynęli na północ, unoszeni chyżo przez potężny prąd. Resztki spóźnionych ptaków przelotnych mknęły śladem za nami po podniebiu, dopędzając silniejszych towarzyszy, już dawno osiadłych na wolnych letniskach Oceanu Lodowatego.

Myśmy też tam dążyli..

Rzeka wezbrana, mętna od niezliczonych potoków wody śniegowej, zlewających się do jej łóżyska z okolicznych gór, niosła nas lekko, jak piórko. Co chwila na zakrętach otwierały się śliczne widoki na zieleniejące już lasy, na sine

przełęcz i białe jeszcze od śniegów szczyty, przeglądające się w lustrzanej wstędze wody. Pogoda sprzyjała, słońce łagodnie złościło błękity. Zdawało się nam, że nikt nas nie postrzegł i że ucieczka powiedzie się nam wybornie. Wtem urwista, wysoka skała zastąpiła nam drogę. Spieniona rzeka z groźnym pomrukiem biła w jej kamienny bok. Potężny prąd nas porwał i niósł wprost na skałę, groziło nam rozbicie.

— Uderz, uderz mocniej, tylko lewymi wiosłami!... — rozkazał sternik, daremnie usiłując łódź sterem nawrócić!

Wyteżyliśmy wszystkie siły, długie wiosła wygięły się, jak patyczki, ...ale łódź oparła się prądowi i przemknęła tuż pod strasznym „bykiem” — tak nazywają tutaj wystające wprost z wody skalne urwiska. Od tej pory nie baliśmy się już



„byków”. „Królowna” okazała się zwinną, posłuszną sterowi łodzią. Płynęliśmy bez przerwy, dzień i noc, gdyż nocy czarnej tu już nie było i cały czas świecił nam dzień... Sypialiśmy na zmianę, po czterech wioślarzy, a jeden z nas stał u steru. Przed sternikiem na pokładzie szumiał nieustannie samowar i pracownicy posilali się po kolei gorącą herbatą z sucharami. Po paru dniach nabraliśmy takiej wprawy, że, aby nie tracić nadaremno sił i czasu na walkę z prądem, przepływaliśmy tuż tuż pod skałami „byków”, ocierając się nieledwie o ich pierś. Nie trwożyły nas już ani rycząca chełbia fal, ani spienione skręty wirów... Wiedzieliśmy, że „Królowna” wszystko zwycięży. Za to pojawienie się nasze wywoływało zwykle straszną wrzawę wśród gnieźdzącego się na gzymsach skał pta-

ctwa. Roje grzebieluch (ziemnych jaskółek) wylatały ze świergotem z niezliczonych otworów swych gniazd, pstrzących wiszary do samego szczytu. Stada wielkich, różowych rybitw, biało-czarnych czajek oraz innych ptaków różnych kształtów i barw długo nie raz po naszym przejeździe krążyły z nieopisanym pisaniem i krakaniem u czoła zadumanych opok. Raz spłoszyliśmy niedźwiedzia, który w zamyśleniu stał na krawędzi urwiska, zapatrzony w wodę. Spostrzegłszy pod sobą nagle łódź z ludźmi — niewidziane dotąd widowisko — podniósł się w zdumieniu na tylne łapy. Ale nawet nie ryknął. Słyszeliśmy tylko, że tam w górze szumi wiatr i trzepocze drzewami, kłoniącymi ku nam swe pnie, gałęzie z krawędzi podmytych gór, a wokoło nas, w dole, szemrała rzeka... Było nam dob-

rze, czuliśmy się wolni, nie śledziły nas
już żadne złe, podejrzliwe ludzkie oczy...
I dlatego często śpiewaliśmy do taktu
wioseł:

Noc głęboka nad ziemią zapadła,
Śpią spokojnie i wrogi i straże,
Wypłynęła na wody zwierciadła
Łódź, spowita w wolności mirażem...

Oj, nie ciesz się, sterniku zuchwały,
Jeszcze liczne czekają przygody,
Oddzielają cię wiry i skały
Od świetlanych przybytków swobody!

Oddzielają cię burze, tumany,
Szkielet głodu czatuje na drodze!...
Statek płynie po nurtach strzaskany,
Kłęcząc smętnie o znikłej załodze...

Więc, sterniku, sokole twe oczy
Niech szukają uważnie w oddali
Gwiazd przewodnich na morskiej roztoczy,
Dróg otwartych wśród łodów na fali...

Im dłużej płynęliśmy, tym większa
ogarniała nas radość, gdyż byliśmy pewni,
że już kozacka moc nas nie dosięgnie,
że nikt nas nie odszuka w tych pusty-
niach...

Nagle rzeka, płynąca dotąd korytem,
rozwidła się na dwie odnogi. Za nim
wybraliśmy, w którą się skierować, prąd
z szaloną siłą uniósł nas i rzucił niespo-
dzianie na kamienistą ławicę, poprzez
którą rzeka przelewała się z łoskotem,
bałwaniąc jak wrzątek. „Królowa” za-
wadziła o głązy podwodne, w mgnieniu
oka została skręcona w poprzek i powa-
lona prądem na bok. Wszystko, i ludzie,
i ciężary, i pościel, i ptaki z sucharami
i kipiący samowar, poleciały w tę stronę.
Krzyk przerażenia wydarł się z ust ludzi,
skłębionych na dolnym boku łodzi, gdyż
czuby spienionych bałwanów zasyczały

w górze nad ich głowami. Fale z rykiem próbowały przeskoczyć po kadłubie przekrzywionej łodzi, dostać się do jej wnętrza i zalać ją. Szczęściem, że było płytko, wyskoczyliśmy i podparliśmy „Królownę”, nie dając jej falom ostatecznie opanować i potoczyć. Postawiliśmy ją na „kilu”*) i z wielkim trudem obrócili wzdłuż prądu tak, że nie mógł jej już wywrócić, lecz przeciwnie, uderzając w tył, w rudel, pchał ją dziobem naprzód przez ławicę. Ale pęd wody był tu tak gwałtowny, toczył taką masę żwiru i kamieni, że rychło przed łodzią, pod jej ochroną, utworzyła się cała ich zaspą. W dodatku kamieniska tłukły nas po nogach i przeszkadzały pracować. Przekonaliśmy się

*) Gruba deska, przymocowana na sztorc do dna, pomaga przy sterowaniu i żeglowaniu statkiem.

niebawem, że żadne wysiłki nie pomogą, że musimy łódź wyładować i dopiero pustą może się nam uda przez kamienny próg wodospadu przeciągnąć. Zaczęliśmy więc ostrożnie przekładać nasze skrzynki z „pemikenem” i sucharami do maluchnej łódeczki, którą prowadziliśmy z boku „Królowny” na cumie*). Kiedy po raz pierwszy jeden z nas puścił się w tej skorupce przez skłębione, ryczące bałwany, dech nam zapało ze wzruszenia. Gdyby żywność wpadła do wody i zatonała, groził nam głód i wyprawa nie udałaby się... Szczęśliwie jednak przepłynął wśród piany i huku wirów, po-

*) Cuma — sznur, służący do przywiązywania statków; „zacumować” — przywiązać statek dwiema linami do przystani.

wrócił i zabrał znowu część rzeczy... W ten sposób ulżyliśmy łodzi i udało się ją zepchnąć na głębinę. Byliśmy jednak tak zmordowani pracą w lodowatej wodzie, zziębnięci wygłodzeni, że postanowiliśmy rozpalić wielkie ognisko, ogrzać się, osuszyć i posilić. Po raz pierwszy od kilku dni wyciągnęliśmy się na pościeliach przy ciepłym ognisku i ugotowaliśmy sobie ciepłej stawy. Zupa z pemikenu, zaprawiona tartymi sucharami, była wyborna.

Od tego dnia zaczęły się nasze niepowodzenia. Prawie tydzień tułaliśmy się z kraju w kraj po obszernej dolinie, wypełnionej przez powódź tysiącem rwących potoków, wściekłych spadów i wirów, przierzucani nurtami z ławicy na ławicę, z mielizny na mieliznę. Przekonaliśmy się, że „Królowna” jest wygodna,

ale trochę za duża i za ciężka na nasze słabe siły, że zbyt jest przeciążona ładunkiem węgla, który wzięliśmy ze sobą, żeby mieć opał dla gotowania stawy na bezleśnych brzegach morza. Musieliśmy często wyładowywać łódź, żeby ją przeprowadzać przez skalne progi i, kiedy wydostaliśmy się wreszcie na głębsze wody, mieliśmy dużo doświadczenia, ale mało sił. Wielu z nas z przeziębienia i od tłustego pemikenu rozchorowało się na żołądek. Kiedy zaczęły wiać silne wichry od morza, nie byliśmy w stanie pokonać go wiosłami, musieliśmy wysiąść i holować statek na sznurach... Brzeg był dziki, miejscami zavalony głazami, miejscami bagnisty lub krzaczasty, kupy gnijącego chrustu i zwalonych drzew utrudniały niezmiernie drogę tak, że posuwaliśmy się bardzo wolno i coraz częściej

widzieliśmy z tyłu, poza nami, dymy palących się ognisk.

Myśleliśmy, że to są dymy naszych własnych, niedawno porzuconych i źle zagaszonych ognisk. Do głowy nam nie przychodziło, że to jest pogoń...

Na domiar złego dopędziliśmy zimę. Coraz częściej spotykaliśmy na rzece spóźnione kry, mokry śnieg z deszczem dął przejmujący... Charakter miejscowości również się zmienił. Coraz mniej było lasów i drzewa rosły coraz niższe, podlejsze. Trawy i zioła znikwały, nie było widać kwiatów, zastąpiły je mchy. Szare i czarne opoki nadbrzeżne, płaczące od wilgoci, kryły szczyty we mgłach. Te ciężkie, białe mgły, kłębiąc się, obsuwały się po skałach na samą rzekę, niby powietrzne wodospady. Wtedy „Królewna” z jasnych wód wpadała nagle

w mroczne tumany, z których niespodzianie dla naszych oczu — wynurzały się tuż przed dziobem łodzi, ociekłe pianą i wodą, piersi niebezpiecznych „byków”. Nadśluchiwaliliśmy więc wciąż pilnie, co się dzieje w tych mrokach, gdyż mówiono nam, że w tych, mniej więcej, miejscowościach są na tej rzece „wielkie wodospady”. Wobec powszechnego osłabienia, bardzośmy się ich lękali.

Deszcz, mgła, wichura wypełniały skalisty wąwóz, po którym wartko mknęła lodowata rzeka, niosąc tu i ówdzie kry.

— Hm! Wygląda na to, że słońce na zawsze pozostało za nami! Teraz rozumiem, że płyniemy do bieguna! Ha, cóż zrobić!... — powiedział jeden z nas.

Łożysko rzeki robiło się coraz węższe, skały zbiegały się coraz bliżej i coraz mocniej ścisnęły nurt wody. Znikły

wszelkie wyspy i wysepki, znikły mierzwi, znikły nawet wąziuchne gzymsy u skał nadbrzeżnych. Gładkie, prostopadłe wiszary wzniosły się z obu stron wprost z głębiny mknącej z szalonym pędem rzeki. Wąziuchny, jak szczelina, skalny korytarz wypełniała całkowicie groźnie pomrukująca, czarna, aż wypukła od pędu, woda... a w górze zwisały i kołysały się szarpane wichrem łachmany brudnych tumanów.

— Wszystko szare: skały, powietrze i woda! Nic nie widzę!... Przestańcie wiosłować!.. — rozkazał sternik.

Wiosłowanie było zresztą zbyteczne, gdyż bieg rzeki wyprzedzał wiosła i te ciapały tylko bezsilnie wodę. Skały z obu stron zdawały się już nie prostopadle wznosić, lecz ku sobie pochylać. Migały w naszych oczach, jak kolumnada jakichś

wrót piekielnych, zimnych, mokrych, nieubłaganych. Festony mgieł z ich szczytów opuściły się jeszcze niżej, zawiesiły całkowicie przelot. Rwąca woda niosła nas ze strasznym impetem.

— No, no, jeżeli teraz o najmniejszy trącimy kamyczek, nie będzie czego zbierać i nikt stąd nie wyjdzie!... Ekstrapocztą dostaniemy się na tamten świat!... — zauważył sternik.

— Cicho!... Słyszycie wodospad?!... — krzyknął ktoś.

W głębi wąwozu, pod mgłami, coś wyło, huczało, kłapało, jak smok.

Od pędu wydało się nam, że łódź stanęła, że jeno drga z przestachu na miejscu, a ku nam pędzi z niesłychaną szybkością potężna, rycząca burza.

— Najsilniejsi do wiosła!... Czekać komendy!... — krzyknął sternik.

Dwaj nasi siłacze ujęli za rękojeście podniesionych do góry wiosel. Reszta wygnańców, skupiona na dziobie statku, siliła się przebić wzrokiem mgły, aby dojrzeć nareszcie wroga. Nagle ujrzeni dziw: wysoki wiszar zamykał się i, zdało się, połykał rzekę. Snop bladego światła, padając z boku, niby z ukrytego za chmurą księżycy, kreślił tajemnicze znaki na ciemnych złomach gór, srebrzył skaczące u jej piersi piany i wodną kurzawę. Rzeka wpadała z rykiem pod czarne, zębate sklepienie...

— Prawym uderz, lewym zahamuj!... — zabrzmiał nagle głos komendy. Wiosła zanurzały się w rzeczonym ukropie i wygięły, jak cienkie patyczki.

Gwałtowne szarpnięcie zważyło nas z nóg. Nim zrozumieliśmy, co się stało, „Królowna” zawróciła prawie na miej-

scu, pochyliła się, trzaśła, otarła o skałę i wybiegła spod mgieł w bok, przez olbrzymie wrota, spomiędzy dwóch opok wysokich, na szeroką równinę, zalaną słońcem i nakrytą błękitem..

Rzeka złociła się cała w blaskach pogodnego dnia i rozlewała szeroko z wesołym pomrukiem, jakby ciesząc się i oddychając ciężko po przebytych trudach. Góry na prawo uciekły daleko na zachód, a na lewo zmałyły, zaokrągliły się i płasko zbiegły ku rzece...

— Pomóżcie mi!... — rozległo się nagle wołanie.

Wtedy dopiero spostrzegliśmy, że nie ma sternika na miejscu, że trzyma go w objęciach jeden z załogi. Opuszczona rękojeść rudla chwiała się niezdarnie.

— Uderzyła mię w piersi!... — mówił cicho sternik, starając się chustką wstrzy-

mać płynącą mu z ust krew. — Musiało się dostać i „Królowie” o skałę. Zobaczcie, czy wiele tam wody na dnie łodzi?!

Położyliśmy sternika na pościel, miejsce jego zajął kto inny, a reszta rzuciła się do pomp, gdyż istotnie woda zaczęła szybko wdzierać się przez szczeliny do środka łodzi. Jeden z nas wpełznął pod tylny pokład, wyjął stamtąd rzeczy, podniósł poszycie z desek i zaczął szukać otworu. Gdy go znalazł, zatkaliśmy go naprędce szmatami.

— Łódź poprawimy dopiero nad morzem!.. — postanowił drugi sternik.

Zaczęły się trafiać na brzegach ryba cze osady. W paru zatrzymaliśmy się, aby kupić trochę ryb i dowiedzieć się, czy daleko do morza; mieszkańcy jednak uciekli, porzuciwszy wszystko, wystraszeni widocznie niezwykłymi rozmiarami na-

szej łodzi oraz widokiem uzbrojonych, nieznanym ludzi.

Rzeka potężna, szeroka, czarna od głębokości, płynęła jednym korytem dość długo w wesołych, zielonych brzegach. Góry znikły, z obu stron, jak okiem zajrzeć, ciągnęła się błotnista równina. Rzeka rozwidliła się znowu; skierowaliśmy się w prawą odnogę. Niski widnokrąg połyskiwał od szeroko rozlanych wód. Znowu zaczęły nam dokuczać wichry przeciwnie, więc, aby nie tracić czasu, wzięliśmy łódź na linkę i poholowaliśmy ją wzdłuż brzegu.

Aż w piękne, słoneczne południe ujrzeliśmy nareszcie morze. Ziemia jak gdyby urwała się przed nami i otwarła błękitną przepaść, pełną złotych i modrych lśnień, migocących w słońcu. Nikły one, blade, rozplywały się w błękitach nieba, na

D A R

Towarzystwa Popierania Budowy Publicznej Szkół

OKRĘG WILEŃSKI

którym białł gdzieś bardzo daleko równiuchny sznur obłoków. Na niektórych zapalały się chwilami smugi i iskry ogni, i ostre kanty błyskały, jak klingi mieczów... Po ruchach i błyskach poznaliśmy je i okrzyk radosny rzuciliśmy w powietrze:

— Ocean!... Lody!...

Postanowiliśmy się zatrzymać przy samym ujściu rzeki, żeby mieć wodę słodką pod bokiem. Natrafiliśmy wkrótce na małą wysepkę i w cichej zatoczce wyciągnęliśmy naszą ranioną „Królewnę” na piasek, żeby obejrzeć dobrze jej pęknięcia i otwory i dobrze je załatać przed morską wyprawą. Jedni poszli zbierać na opał drzewo, wyrzucone przez przyplływ morza na brzeg rzeki, drudzy wyładowywali rzeczy i chowali je pod rozbity namiot, jeszcze inni poszli zarzucić sieci na

ryby. Pracowaliśmy dzień cały, śpiewając wesoło. Żadne złe myśli, żadne przecucia nie przychodziły nikomu do głowy. Po skończonej robocie, kiedy inni poszli spać, zarzuciłem dubeltówkę na ramię i w małym czółenku przepравиłem się przez zatokę na sąsiednią wysepkę, gdzie wabił mię gwar ptasi, dolatujący stamtąd nieustannie.

Słońce opuściło się nisko nad sarią ziemią i zaczęło toczyć się wśród mgieł po lodach, czerwone i ogromne, jak rozpalone koło żelaznego wozu. Morze pomierzchło i oddzieliło się od nieba ciemną, siną linią. Na tundrze zagasty srebrne blaski rozświetlających ją wód i bajorów, ziemia zmartwiała i stężała. Powiało chłodem. Była to noc podbiegunowa, noc letnia, noc widna, kiedy słońce nie kryje się pod ziemię, lecz biegnie czas jakiś ni-

ziutko nad nią, aby powoli wznieść się niewysoko do góry, obejść strony świata w koło i wrócić w to samo miejsce swego ranka na północ.

Gdy wylądowałem na wysepce, krwawe słońce już nic nie grzało. Zimny, poranny wiatr zaczął dmuchać od morza. Spiałem więc kurtkę zajęczką na pierśsiach, futrzaną czapkę wtuliłem głęboko na uszy i ostrożnie pochylony skradałem się ku niziuchnym wzgórkom, skąd dobiegało mnie stłumione gęganie i kwakanie. Zanim jednak dotarłem do niego, dostrzegły mnie olbrzymie białe albatrosy, stada czajek wiecznie niespokojnie polatujących nad morzem i z ostrzegawczym kwileniem rzuciły się w moją stronę. Nie zwracałem na nie uwagi, cały pochłonięty dziwnym widokiem, jaki się przede mną otworzył. Na wierzchołku wzgórka,

gdzie przyplływ morza nie sięgał, zobaczyłem, jak okiem sięgnąć, szeregi gniazd ptasich, uwitych z traw i gałązek. Na gniazdach siedziały poważnie tysiące ptaków, pewnych swych praw i bezpieczeństwa. Bynajmniej nie zlekły się mego widoku. Większość z nich spała. Niektóre z brzoza otworzyły na chwilę senne ślepki, lecz natychmiast zamknęły je i wtuliły z powrotem szyjki w nastroszone piórka podgardli. Widocznie ani do głowy im nie przychodziło, żeby ktoś tu mógł je skrzywdzić. Wszystkie miały dziobki zwrócone w jedną stronę, gdzie między szeregami gniazd ciągnęły się wąskie, równo udeptane uliczki. Po uliczkach spacerowały, przewalając się z nogi na nogę, strażę...

Całe olbrzymie ptasie miasto!...

Było tyle powagi, porządku i ufności

w dobrą wolę sąsiadów w tym państwie pierzastym, że wstyd mi było zrobić użytek z broni. Przypatrywałem się ciekawie rozkładowi gniazdowiska i zauważyłem, że tęzsze, mocniejsze odmiany ptasie i tutaj jednak zabrały sobie najlepsze, najsuchsze dzielnice... Były to po większej części te białe wielkie czajki, które stadem polatywały właśnie nad moją głową z przejmującym kwileniem.

— Nie będę strzelał do biednych kacząt, kulików i wodnych kurek, ale zabiorę trochę jajek tym drapieżnikom. Muszę przecież coś przynieść moim głodnym i chorym towarzyszom!.. — pomyślałem sobie i skierowałem się ku szczytom wzgórzka. Nie było tam łatwo się dostać, gdyż uliczki wśród gniazd były dość szerokie dla kaczek, lecz za wąskie dla moich stóp, idąc więc, potrafiłem o dzio-

by tego i owego, co wywołało wielkie niezadowolenie, pisk i nawet trzepanie skrzydłami. Ścieżki zapełniły się rozbudzonymi ptakami, które coś sobie opowiadały głośnym kwakaniem. Gorzej, że w miarę, jak zbliżałem się do dzielnicy czajek, te ostatnie kwiliły coraz żałośniej i coraz niżej polatywały nad moją głową. Kiedy zaś dopadłszy do ich gniazd, zacząłem zrzucać grube, tęgie „czajnice” i zgarniać jaja, wszczął się nieopisany gwałt. Kwilenie zmieniło się w groźny skrzek, syczenie, krakanie... I nagle chmura ptaków z wielkim wrzaskiem poderwała się z ziemi i zakotłowała nade mną. Poczułem na plecach uderzenia skrzydeł, jakieś dzioby uderzały mię w czapkę, jakieś szpony próbowały ją zerwać... Całe szczęście, że miałem ją rzemieniem podwiązaną pod brodą. Zrozu-

miałem jednak, że to się może źle skończyć, że trzeba się bronić... Dałem parę strzałów w wirujący nade mną ptasi huragan... ale bez skutku: huk zniknął w łoscocie skrzydeł, jakbym wystrzelił w pieczyne, parę sztuk zabitych spadło, nie robiąc na reszcie wrażenia. Owszem, natarły na mnie jeszcze zawzięciej i poczułem już krew na zranionych policzkach... Schwyciłem dubeltówkę za lufę i zacząłem oganiać się kolbą, jak kijem... Gdzie tam, chmara ptactwa gęstniała w koło mnie z każdą chwilą... Musiałem się ratować ucieczką... Zasłaniając rękami twarz od napastników, sadiłem wprost przez miasto ptasie, budząc tam jeszcze większy popłoch, gniotąc po drodze kaczki, jaja i gniazda!...

Czajki ścigały mię najdłużej i dziobały najzacieklej... Wreszcie i one dały mi po-

kój, odpędzone kilkoma strzałami. Ale długo, długo jeszcze słyszałem wrzaskliwy sejm w splądrowanym przeze mnie ptasim mieście i długo jeszcze pojedyncze czajki zataczały nade mną w locie piękne łuki, jak gdybym był upatrzoną przez nie dla połowu rybą... Jaj wszystkiego zdołałem zabrać ze trzydzieści sztuk.. Było tego trochę za mało, postanowiłem więc zapolować gdzieś w innym, nie tak „zaptasionym” miejscu.

Doprawdy, wolałbym spotkać niedźwiedzia, niż wrócić znowu do tych przeklętych dziobaków! Poszedłem wprost przed siebie w głąb wyspy. Błota tu były i bajora, porośnięte mchem i niskim, szorstkim szuwarem. Droga dłużyła się i skakałem z kępy na kępę, żeby dostać się na suchsze miejsce, gdziebym znowu może znalazł jakie ptasie miasto. Posta-

nowiłem być ostrożniejszy i nie zrzucić samek z gniazd, lecz podbierać u każdej po kilka jajek... Wtedy może nie zrobią harmidru?! Zamiary moje jednak spełzły na niczym, gdyż zanim się spostrzegł, jak mgła, przywiana wiatrem od morza, zasłała szarym muślinem ziemię. Zwróciłem oczy w stronę, skąd płynęła i dostrzegłem długi, jak samo morze, wał tumarów, toczących się z lodowych pól przez sfalowane morze ku ziemi. Białe, jak wata, loczki i kłębuszki już dobiegły moich nóg...

— Trzeba wracać do łodzi! — pomyślałem. Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Wkrótce mgła już mi sięgała pasa i nie mogłem poprzez nią dojrzeć, gdzie stawiam kroki... Brnąłem więc, woda, nie woda, zapadając nieraz w błoto wyżej kolan, ślizgając się co chwila niemożli-

wie, gdyż pod wodą i mułem, a nawet i pod mchem był lód...

Kiedym się wydostał na brzeg, mgła już gęstą i grubą zasłoną pokryła wszystko. Poznałem, że mam przed sobą morze tylko po ryku fal i szklanym stukocie uderzających o siebie lodowców.

W tej nieprzeniknionej, mlecznej pomroce z trudem odszukałem swoje członko, lecz przepawić się do swoich nie mogłem, gdyż wzburzone morze piętrzyło takie bałwany, że zatopiłyby mię natychmiast. Musiałem czekać. Aby uchronić się od przejmującego, zimnego wietrzyska, położyłem się na dno łódki i próbowałem zdrzemnąć. Nadaremno: huk morza, gwizd wiatru, zimno stygnącej na mnie przemoczonej odzieży nie dały mi oka zmrużyć. Patrzałem więc w górę na kłębiące się nade mną białe mgły. Od

czasu do czasu wiatr rozdzierał je i wtedy w otworach błyskało błękitne, zalane słońcem niebo. To mi dodawało otuchy: więc jest pogoda, a to tylko nawiane wichrem tumany, które miną, skoro się wiatr odmieni!

Gdym tak się pocieszał, dostrzegłem niespodzianie na tych mgłach skłębio-nych, niby na białym ekranie czarnoksięskiej latarni, olbrzymie postacie w futrzanych czapach z karabinami i łukami w rękę, myśląc że to sen!...

Lecz nie był to sen: istotnie, pogoń dopędziła nas nad brzegiem morza; kozacy i jukagirzy w czasie mgły otoczyli nasz obóz i wzięli nas do niewoli...

Tak się skończyła nasza wędrówka śladem ptaków przelotnych. Wróciliśmy na stare miejsce wygnania na długie lata. Wszystkim wygnańcom dała wolność

dopiero Wielka Wojna, w czasie której wywalczyliśmy Niepodległość Ojczyzny!...



260007

WACŁAW SIEROSZEWSKI

W Ś R Ó D
K O S M A T Y C H L U D Z I

C e n a z ł. 1.20

W roku 1900, już po kilkunastoletnim pobycie na Syberii, Wacław Sieroszewski został ponownie aresztowany i zesłany na Daleki Wschód. Z poprzedniego zesłania przywiózł dzieło, nagrodzone złotym medalem Towarzystwa Geograficznego, — monografię o Jakutach; tym razem udał się wraz z Bronisławem Piłsudskim do kraju Ainów, — dziwnego a niezbadanego dotychczas szczepu „kosmatych” ludzi. Książka niniejsza — to piękne wspomnienie owej podróży, opis osobliwej kultury Ainów, ich obyczajów i wierzeń, ich walk z przeważającą siłą Japończyków.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

WACŁAW SIEROSZEWSKI

Z E Ś W I A T A

C e n a z ł. 3.—

Tom Wacława Sieroszewskiego „Ze Świata” to najmiłsza, najbardziej porywająca, a przy tym pouczająca i mądra lektura dla młodzieży. Dzieje wyprawy uwięzionej wśród lodów bieguna północnego, jej tragiczna i bohatera wędrownia po rozbiciu statku przez kry lodowe — to najlepsze karty literatury podróżniczo-zdobywczej. Znakomite obrazy polowania na reny i wieloryby, piękny obrazek z Dalekiego Wschodu p. t. „Kulisi” i wreszcie większa powieść, już nie w tak dalekie sięgająca strony, — „Latorośle”, tworzą razem arcyciekawą, pięknie napisaną i zawierającą mnóstwo faktycznego a cennego materiału całość.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”